

Kilka myśli w różnych sprawach

Grażyna Borkowska

GRAŻYNA BORKOWSKA

KILKA MYŚLI W RÓŻNYCH SPRAWACH

1. Wiele zmieniło się w badaniach nad pozytywizmem w ostatnich dziesięcioleciach. Już po syntezie Henryka Markiewicza (1978) pojawiły się co najmniej trzy szkoły myślenia o epoce: polityczna, metafizyczna i egzystencjalna. Pierwsza akcentowała tragizm (lub – przeciwnie – ugodowość) pokolenia pozytywistów uwikłanych w cenzurę, zmagających się z powstańczą traumą; druga – eksponowała stawiane przez pozytywistów pytania natury filozoficznej, wyraźnie wykraczające poza przypisywany tamtej epoce agnostycyzm; trzecia – odwoływała się do szeroko pojętej problematyki egzystencjalnej, obejmującej zjawiska życia, miłości, śmierci itd. O ile badania wcześniejsze skupione były przede wszystkim na pokoleniu Szkoły Głównej, pozytywistach warszawskich i ich działalności programotwórczej, oraz wielkiej trójcy powieściopisarskiej (Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa), słowem, dotyczyły centrów epoki, o tyle prace dwu ostatnich dekad mówiły o miejscach w jakimś sensie szczególnych: twórczości senilijnej wybranych autorów, metafizyce (a nie realizmie), treściach ukrytych (a nie jawnych), obcych wtętarach, takich jak romantyzm, *biedermeier* czy modernizm.

Profity płynące z podjęcia najnowszych tropów są oczywiste. Obraz epoki bardzo się zdynamizował, a zaaplikowanie pozytywizmowi takich samych pytań jak epokom ościennym ujawniło dodatkowo spójność całego wieku XIX. Refleksja nad dziewiętnastowiecznością jako swoistym fenomenem kulturowym wydaje się najświeższą i bardzo atrakcyjną propozycją badawczą.

Tkwią w tych nurtach i jestem ich entuzjastką, a jednocześnie nie mogę, oczywiście, oprzeć się wrażeniu, że dając wiele – nie dają wszystkiego. Że zajmując się podmywaną przez modernizm twórczością „późnych” pozytywistów, tracimy z oczu ich pierwociny. Że dowartościowując metafizyczność – pozbawiamy znaczenia pozytywistyczny racjonalizm, że tropiąc metafory – gubimy wysiłek zmierzający w stronę realistycznego, dosłownego przedstawienia. Pojawiające się tu i ówdzie marzenia o nowej syntezie, o nowym porządku epoki nie mają w tej sytuacji żadnych podstaw. Myślę, że nie tylko wiedza o pozytywizmie, ale cała historia literatury idzie w kierunku wykluczającym ogląd syntetyczny. Bo żeby dokonać syntezy, trzeba przystać na uogólnienia, trzeba porozumieć się co do hierarchii ważności poszczególnych spraw. Tymczasem dzisiaj badacze pracują na wytyczonych przez siebie szlakach, często na marginesach epoki, kierując się nieskrywaną potrzebą zaspokojenia własnej ciekawości, własnych pytań, własnych niepokojów.

Nie oceniam tej postawy; sama tkwię w niej zbyt mocno, by zdobyć się na dystans. Pragnę jedynie zaznaczyć granice tego modelu historii literatury, który dzielę z badaczami mojej generacji. Byłoby sprawą ciekawą zastanowić się, w jakim stopniu ten „decentralistyczny”, nieco rozwichrzony sposób uprawiania historii literatury (pozytywizmu) wiąże się z odreagowaniem solidnego, ale – trzeba przyznać – dość schematycznego obrazu epoki pozostawionego przez naszych mistrzów i poprzedników, na ile zaś jest on mniej lub bardziej świadomą formą przeniesienia do własnego warsztatu sceptycyzmu badawczego nowszych, post-strukturalistycznych, dekonstrukcyjnych inspiracji teoretycznych. A przynajmniej tych spośród nich, które akcentują „interesowność” badacza, zawodność jego sposobów szukania prawdy („prawdy”), kłopoty w pokonywaniu bariery tekstu oddzielającego nas od „świata”.

Warto też zapytać, czy dający się zauważyć wzrost zainteresowania dla prac edytorskich i w ogóle ożywienie na gruncie wydawniczym (wciąż niewystarczające wobec potrzeb) jest przypadkowe, czy raczej można widzieć w tym zjawisku dążenie do wypełnienia podstawowych obowiązków historyka literatury, który spełniwszy powinności wobec tekstów cudzych, przystępuje do produkcji własnej.

Jeśli nawet przypuszczenie to jest całkiem nietrafne lub przesadzone, to i tak fakt ten nie zmienia obrazu epoki i jej badaczy: usiłujemy przywrócić czytelnikom zapomniane lub dotąd nie opublikowane teksty; jednocześnie jako autorzy prac interpretacyjnych wykazujemy pewien opór wobec języków epoki, wobec oczywistości znaczeń danych. Komentarz edytorski (towarzyszący edycji) i praca historycznoliteracka to dzisiaj często dwa zupełnie różne gatunki wywodu literaturoznawczego. Zauważmy, że historia literatury (pozytywizmu) akceptuje i wykorzystuje – oba. W każdym razie oba, choć w różny sposób, budują wiedzę o epoce.

Pewien kłopot pojawia się wtedy, gdy stajemy przed koniecznością przekazania owej wiedzy innym. Skoro nie ma syntezy ani zgody (wewnętrznej) na jakiś ustalony obraz epoki, nie ma tradycyjnej dydaktyki, która powinna się opierać na podawaniu „twardych” faktów, niepodważalnych ustaleń. Trudno przecież informować o własnym pomieszaniu i chwilowej choćby bezradności. Pisarsko ta strategia zawieszenia może być płodna, w dydaktyce jednak się nie sprawdza. Stosuję wyjście mniej drastyczne: pokazuję wielość perspektyw, które składają się na obraz tamtego półwiecza; ruchomość i przesuwalność wszelkich cezur (dla zwolenników tezy o wspólnej przestrzeni XIX-wiecznej cezura roku 1863 będzie miała inne znaczenie niż dla tych badaczy, którzy opowiadają się za wyrazistością pozytywizmu). Chciałabym powiedzieć nawet mocniej: trzeba przyjmować te zmienne założenia, bo tylko rozmaite pryzmaty i soczewki pozwalają dostrzec bogaty, maksymalnie bogaty obraz dziejów. Muszę po prostu powiedzieć moim studentom, że to, czym się interesuję (imponująca odrębność pozytywistów jako formacji intelektualnej, ewolucja własna ich poglądów, późna twórczość, naturalna erozja założeń programowych; wszechstronna działalność kobiet, itd., itp.), nie stanowi w żadnym razie całościowego obrazu epoki. Jest tylko fragmentem większej, hipotetycznej całości, na którą może składać się jeszcze to, i to, i to.

2. Pracę badawczą rozpoczęłam w bardzo dobrym momencie. Choć brzmi to dziwnie – była jesień roku 1981. Zaczynałam w powołanej właśnie do życia Pracowni Literatury Pozytywizmu w IBL PAN (dla ścisłości zaznaczam, że przez kilka pierwszych lat tworzyliśmy jednostkę o niższej randze, tj. Zespół). Korzy-

stałam z wszystkich przywilejów, jakie daje współpraca z profesorem Januszem Maciejewskim, tzn. z jego życzliwości, wyrozumiałości. Dał mi całkowitą swobodę, bez której nie umiem pracować. Wkrótce poznałam innych Mistrzów: w IBL-u uczyłam się dyscypliny myślenia. Imponowali mi zwłaszcza teoretycy literatury, strukturalistyczny język wywodu, czystość, bezosobowość argumentacji. Żadnych wzruszeń! Na szczęście (dla siebie) rozumiałam, że nie umiem i chyba nie chcę tak pisać. Zwróciłam się w stronę historii literatury, szukając dodatkowego wsparcia w krytyce feministycznej. Rozumiem ją dzisiaj nie tylko jako narzędzie pomocne w odczytaniu znaczeń zaszyfrowanych przez kobiety lub dotyczących ich losu, ale jako sposób odkrywania różnych sensów zmarginalizowanych przez to, co czasami nazywa się dyskursem dominującym. Krytyka feministyczna to krytyka takiego dyskursu. Lecz mówiąc o dominacji, nie mam wyłącznie na myśli mitycznego patriarchy, ale różne jedynie słuszne poglądy i idee, które podsuwa się do akceptacji. Bardzo trudne i skomplikowane życie po klęsce styczniowej było pełne niedomówień i świetnie poddaje się lekturze „wywrotowej”, czasami celowo niezgodnej z intencjami mówiącego, świadomej jego ograniczeń.

Mimo odczuwanego kryzysu dyscypliny (nie wspominając o kryzysach własnych) zachowała dla mnie pełną wartość, inaczej dzisiaj rozumiana, narracja historycznoliteracka. Co prawda, nie umiemy dokonać syntezy, wciąż jednak w przestrzeni kultury poszukujemy ogniwa pośredniczącego między nieprzenikalną prawdą cudzego tekstu a językiem naszej współczesności.